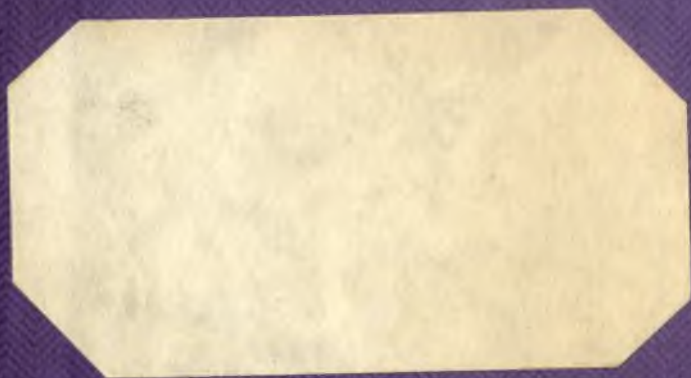






NIECO O STOSUNKACH

POLSKO - RUSKICH

napisał

Dr. IWAN FRANKO

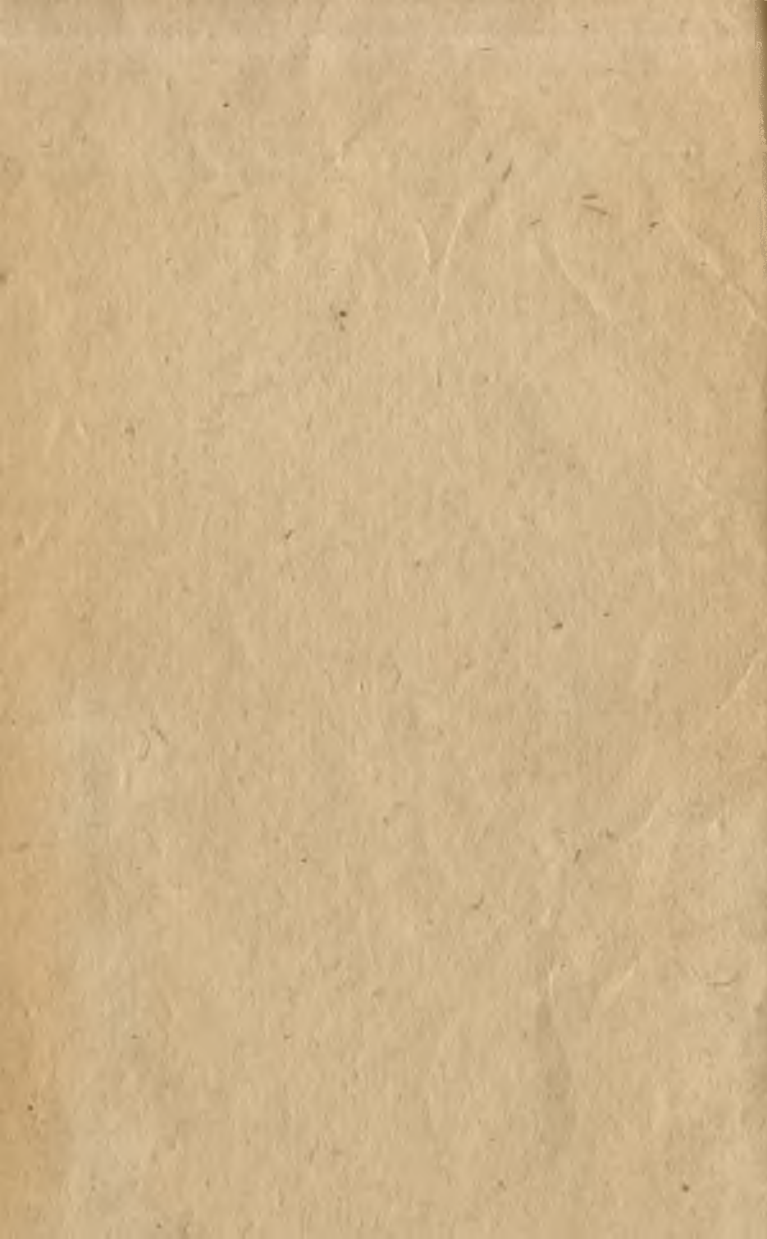


LWOW

NAKŁADEM AUTORA

Z drukarni Z. Golłoba, Ossolińskich 15.

1895.



de

Nieco o stosunkach polsko-ruskich.

ODPOWIEDZ

p. T. ROMANOWICZOWI

napisał

Dr. IWAN FRANKO.



Lwów 1895.

NAKŁADEM AUTORA.

Drukarni Z. Golloha.

Львівська бібліотека
АН УРСР
№ II- 34210

Львівська Філія
Львівська бібліотека

~~6014~~

I
N-60
5681

W numerze 226. *Nowej Reformy* umieścił p. poseł T. Romanowicz artykuł, opatrzony swoim podpisem, pod tytułem „Domowe spraw Rusinów“, a skierowany prawie wyłącznie przeciw mojej osobie. Początek artykułu wygląda wprawdzie jakoby rzeczowa odpowiedź na postawioną przezemnie na jednym ze zgromadzeń przedwyborczych do sz. posłów z lewicy interpelację co do poglądów tychże posłów na kwestję ruską, lecz dalsza i większa część tego artykułu zupełnie zbacza z tej wytkniętej drogi. W interpelacji mojej na ratuszu zarzuciłem posłom z lewicy, że w traktowaniu sprawy ruskiej nie mają szerszego, samodzielnego programu, lecz owszem przyłączają się do taktyki tych, którzy słowami nieraz głoszą, że szanują Rusinów, kochają Rusinów, a gdy przyjdzie do czynów, to zwalczają wszystkich Rusinów pod pozorem, że to są moskalofile. Podniósłszy ważność sprawy ruskiej dla narodowego bytu Polaków, ostrzegałem przed zbyt powierzchownem traktowaniem tej sprawy, przed zbyt pochopnem szafowaniem terminami „pocziwy Rusin“ i „moskalofil“, gdyż bardzo często dystynkceja taka jest dowolną i nieda się rzeczowo uzasadnić.

Ze względu na specyficzne objawy moskalofilstwa galicyjskiego nazwałem takowe sporem domowym między Rusinami, t. zn., że zwalczanie tegoż uznałem jako zadanie, które przedewszystkiem własnymi siłami narodu ruskiego prowadzonem być powinno. Żałuję bardzo, że dalszy przebieg zgromadzenia nie pozwolił mi obszerniej wyłuszczyć moich poglądów na rozmaite objawy mo-

c. 10 p. 100
kie

skalofilstwa, zwłaszcza w Galicji, wymagające też rozmaitych sposobów walki. Uczynię to obecnie nie tyle dla odpowiedzi p. Romanowiczowi, który kwestję tę w artykule swym zbył ogólnikami, ile dla ważności samej sprawy.

Naród ruski, liczący przeszło 20 milionów ludności i rozsiadły na szerokiej przestrzeni od Sanu do Kubania, znajduje się w położeniu do najwyższego stopnia nienormalnem. Dzieje ostatnich stuleci złożyły się dla niego tak nieszczęśliwie, że pozostał w tyle po za swymi sąsiadami zarówno pod względem politycznego i społecznego, jak i pod względem umysłowego rozwoju. Rozdzielony na bardzo nierówne części między dwa mocarstwa, w jednym z nich wszelkimi środkami politycznej potęgi i administracyjnej samowoli utrzymywany jest w stanie wegetacji, do tego stopnia, że nawet język jego jest tam owocem zakazanym. W drugim cieszy się wprawdzie opieką ustaw konstytucyjnych, ale pozbawiony warstw majątnych i wpływowych, zbyt mało może z nich korzystać.

Konstytucja austriacka jest par excellence konstytucją klasową, konstytucją dla klas uprzywilejowanych. A że klasy majątne i szlacheckie w Galicji wschodniej zaliczają się w przeważnej części do narodowości polskiej, więc i dobrodziejstwa konstytucyjne w przeważnej części wyszły na jej korzyść. Wprawdzie na papierze otrzymali Rusini równouprawnienie, ale praktyka życiowa wykazywała coś całkiem innego. Rusini wkrótce musieli się przekonać, że konstytucja jest tylko glebą gorzej lub lepiej uprawną, która sama bez usilnej pracy i walki chleba nie da. Przekonali się, że o każdą instytucję, do której mieli teore-

tyczne prawo, trzeba było staczać długie i uciążliwe walki, że każdą piędź gruntu politycznego trzeba było zdobywać i to nieraz latami. A dla takiej walki, dla takiej pracy sił odpowiednich było tak mało! Czyż dziwić się więc, że absorbowane tą uciążliwą, codzienną walką szczupłe siły inteligentne ruskie, osłabiane codzienną prawie dezereją zrozpaczonych lub karjerowiczów, zaledwie mogły jej wydolać i zaniedbywały sprawy szersze, ogólnie narodowe, zacieśniały swój horyzont, marniały w nędznej parafianšczyźnie? Czyż dziwić się, że wśród takich warunków Rusini galicyjscy nie wytworzyli ani świetnej literatury, ani wybitnych uczonych, ani przemysłu zdolnego do konkurencji na rynku światowym? Czyż dziwić się, że nawet sprawy tak elementarne, jak pisownia i język literacki pozostały jeszcze nieustalone, niewyrobite? Ba, nawet samo pojęcie o istocie narodowości ruskiej, o jej samodzielności wobec polskiej i rosyjskiej, o jej granicach, o jej warunkach cywilizacyjnych i o jej przyszłości nie przestało jeszcze być przedmiotem sporów, dogmatem, w który jedni wierzą a drudzy nie wierzą, tezą, którą jedni popierają a drudzy zbijają różnymi argumentami?

Sądzę, że nikt się temu dziwić nie będzie, kto zważy faktyczne położenie narodu ruskiego, ciężar zadania, jakie wobec tego położenia spada na Rusinów galicyjskich i nieproporcjonalność ich sił do tego ciężaru. Wszakże ta drobna cząstka narodu ruskiego powinna spełniać funkcje życiowe za cały naród, powinna wytwarzać tyle kapitału cywilizacyjnego, ile go potrzeba na pokrycie budżetu życia narodowego całej Rusi-Ukrainy. I co fatalniejsza: największa część tego narodu leży

formalnie sparaliżowana, nie może ani ludźmi ani kapitałami dopomagać Rusinom galicyjskim przy tej pracy w takich rozmiarach, jakby tego była potrzeba. A tymczasem w samej Galicji wskutek rozwoju różnorodnych stosunków walka o byt polityczny staje się dla Rusinów z dniem każdym trudniejszą i mniej rokującą nadzieją. Dość będzie wspomnieć chociażby o ciągłym podwyższaniu czesnego, które w połączeniu z zaprowadzeniem mundurów szkolnych, z podrożeniem artykułów żywności i pomieszków już dziś dostęp do średniego i wyższego wykształcenia dla dzieci chłopskich czyni prawie niemożliwym, a wprowadzany systematycznie celibat duchowieństwa ruskiego zmniejszyć musi i z tej strony przyływ nowych generacji inteligencji ruskiej.

Daleki jestem od myśli, bym to wszystko miał przypisywać jakiejś „intrydze polskiej“ lub formować stąd jakieś zarzuty przeciw społeczeństwu polskiemu. Wiem dobrze, że polityka jest grą sił, że dla sentymentalnych uczuć i pragnień mało w niej miejsca. Pragnę jedynie, by Polacy zrozumieli należycie sytuację Rusinów. Bo czyż wobec wyłuszczonych tu faktów nie jest rzeczą naturalną, że chwilami zwątpienie zakreślić się może w duszę nawet najgorętszego patrioty ruskiego? Że widząc bezpłodność, małą wydatność i marność wysiłków nielicznej garstki jednostek, widząc jak mimo to na każdym kroku ubiegają nas konkurenci z jednej i z drugiej strony, jak się opóźniamy w sprawach najkardynalniejszych, pomyśli sobie: czy nie lepiej porzucić tę beznadziejną walkę o samodzielność narodową i przystąpić do silniejszych, bogatszych, lepiej zorganizowanych sąsiadów?

Oto jest to fatalne „być albo nie być“, wobec którego od wieków stoją Rusini, czynni lub bierni świadkowie tej walki, jaka na ich ziemi toczy się między wschodem i zachodem, między wpływami polskimi i moskiewskimi. To jest grunt psychologiczny zarówno polonofilstwa jak i moskalofilstwa ruskiego. Bez kwestji, na tym gruncie psychologicznym w różnych czasach i w różnych warunkach bardzo rozmaite wyrastają kwiatki. Przypatrzmy się tylko rozmaitym odmianom moskalofilstwa galicyjskiego.

Rzecz niewątpliwa, że dopóki Rosja jest bezpośrednią sąsiadką Austrii i dopóki wszystkie państwa europejskie uważają za rzecz stosowną posługiwać się takimi środkami walki, jak szpiegostwo i wzajemne rzucanie sobie polan pod nogi, dopóty w Galicji są i będą płatni ajenci rosyjscy, czy to przejezdni, czy swoi, domowi. Nie będą nimi Rusini, to będą Polacy (a la Hendigery), nie będą Polacy, to będą Niemcy, Żydzi, Cyganie. Ci „moskalofile“, a raczej słudzy każdorazowego rządu moskiewskiego, jego ajenci i naganiacze, rzeczywiście nie są niczem specyficznie ruskim, jak nie są niczem specyficznie polskim ani austriackim. W Rosji znajdują się podobnej kategorii austro-file lub germano-file. To jest choroba międzynarodowa, choroba, do walki z którą powołane są w pierwszej linji rządy interesowane, którym indywidua tego rodzaju najbardziej szkodzą. Ze społeczeństwa, wśród których owe indywidua działają, powinny jak najbardziej brzydzić się nimi i reagować przeciw nim, tego wymaga prosta honorowość. *W tem znaczeniu moskalofilstwo — jak i wszelka podłość, jak wszelka sprzedajność i demoralizacja jest zjawiskiem międzynarodowym,*

zjawiskiem godnem powszechnego potępienia i zwalczania.

Czy powiedziałem kiedykolwiek choć słowo w obronie takiego moskalofilstwa? Przenigdy! O takim moskalofilstwie ani w mej interpelacji, ani w odpowiedzi danej na nią przez p. Goldmana na ratuszu, ani w tej odpowiedzi, jaką dał na nią p. Romanowicz w „N. Reformie“, niema mowy. Chodzi tu o to specyficzne galicyjsko-ruskie moskalofilstwo, na które Polacy zaczęli narzekać jeszcze w r. 1848, a które rzeczywiście *nie bez winy polskich sfer, rządzących w Galicji*, od r. 1848 do teraz zrobiło pewne postępy. Powtarzam jeszcze raz: nie bez winy polskich sfer kierujących i rządzących z jednej i polskich sfer mianujących się demokratycznymi, głośnych w frazesie a słabych i dwulicowych w czynach, z drugiej strony. Jest to moskalofilstwo podobne do sekty raczej, niż do stronnictwa politycznego; nieboszczyk Dragomanow porównywał je z rosyjską sektą Ochochońców, nazwaną tak od ciągłego wzdychania „och! och! och!“ Nasza sekta moskalofilska wzdycha do Rosji, której przeważnie nie zna, do jedności narodowej z wielkim narodem rosyjskim, o którym niema wyobrażenia, do języka rosyjskiego, którego literatury nie czyta. Sekta ta gardzi nieraz swoim językiem ojczystym, ruskim, usiłuje pisać łamaną moskiewszczyzną lub raczej cerkiewszczyzną, pomięszaną z rusinizmami i polonizmami. Sekta ta wzdycha nawet nieraz za prawosławiem, jako jedyną narodową wiarą wszech-ruską, nie mając również wyobrażenia o tem, czem jest obecne kazionne prawosławie rosyjskie. Był bym niegodny zwać się Rusinem, jeżelibym pojawienie się i istnienie tej sekty nazwał czemś

korzystnem, pożądanem dla rozwoju Rusi. Od początku swej działalności literackiej starałem się zwalczać tę sektę, ale czyniłem to nie płónnymi argumentami, bom wiedział, że ci ludzie argumentów nie słuchają, lecz pracą pozytywną, literacką i naukową, pracą, która jedynie zdobywa grunt, wdraża ludzi zwolna w niezwykły dla nich przedtem sposób myślenia, a w wielu jednostkach, zamiast zwątpienia i rozpacz, rodzi otuchę i poczucie wiary w własne siły, w przyszłość własnego narodu. Czy i co w tym kierunku rzeczywiście zdziałalem, nie moja rzecz sądzić. To tylko jedno powiedzieć muszę otwarcie, że jeżeli Polacy galicyjscy mieli dotychczas szczerzy zamiar walczenia z tem moskalofilstwem, to nie tylko nie wskórali w tej walce nic a nic, lecz przeciwnie, przyczyniali się jedynie — zapewne nieświadomie, — do jego wzrostu. P. Romanowicz patetycznie tak mówi o tej sprawie:

„My nie możemy sporem domowym uznać kwestji, czy Rusin stoi na narodowo ruskim, czy na wszech rosyjskim gruncie. Według mego zapatrywania, domowym sporem między Rusinami jest walka pomiędzy tymi obozami ruskimi, które, uznając odrębność Rusi od Rosji, nie sprzeniewierzają się swojej mowie narodowej, swemu obyczajowi, swemu narodowemu duchowi, a różnią się czy to w sprawach społecznych, czy w kwestjach taktyki politycznej. I stwierdzić mogę, że to stronnictwo polskie, do którego ja należę, nie mięszało się nigdy do sporów między Romańczukiem z jednej a Barwińskim i Wachnianinem z drugiej strony. Ta bowiem walczą między sobą Rusini, z których jedni są obecnie za opozycyjną polityką, drudzy zaś za tem, aby za pomocą uległości i powolności wobec rządu starać się o coraz nowe dla narodowości ruskiej zdobycze.

„Ale kto walczy pod hasłem „jeden język i jedna wiara od Karpat aż po Wołgę“, kto mowę ruską przekształca na rosyjską, kto (jak jeden upadły kandydat z ostatnich wyborów) w imię powyższego hasła przyjmoje prawosławie i stara się o jego krzewienie wśród unickiego ludu, kto w pismach dla ludu ruskiego szerzy ubóstwienie dla cara — ten jako wróg Polski i Rusi zwalczanym być musi. I jeżeli prawdziwi Rusini walczą z tym zabójczym kierunkiem, to my Polacy, bez różnicy stronnictw, mamy prawo i obowiązek stanąć po stronie Rusinów przeciw moskalofilom, którzy swą własną narodowość zgubić usiłują. To nie jest mieszanie się do domowych sporów między Rusinami, to jest uprawniona walka z wrogiem, spełnienie prostego obowiązku obrony własnej. Spełniając ten obowiązek, demokracja polska bynajmniej nie sprzeciwia się zasadzie, według której wobec Rusinów postępuje na zasadzie sprawiedliwości i uznania praw narodowych, tak samo, jak nie wykacza przeciw zasadzie sprawiedliwości i wolności ten, kto od swojej lub brata swego strzechy odpydza zbrodniczą rękę, zapalone łuczywo do strzechy tej przykładającą“.

Prawda, jak to ładnie, jak sprawiedliwie, jak wzniosłe! Niestety, jest tu pewien haczyk. P. Romanowicz próbuje określić Rusinów „comme il faut“ i cóż powiada? Oto powiada, że na sympatje, na poparcie w jego oczach zasługują „Rusini, którzy, uznając odrębność Rusi od Rosji, nie sprzeniewierzają się swej mowie narodowej, swemu obyczajowi, swemu duchowi narodowemu“. Miałbym prawo zapytać się p. Romanowicza, czy on lub ktokolwiek z jego stronnictwa jest w stanie określić dokładnie tę mowę, te obyczaje, tego ducha, które mają być przymiotami „sine quibus non“ prawdziwego Rusina? Czy p. Romanowicz

zna na tyle język, obyczaje i ducha narodu ruskiego, by mógł się narzucać na sędziego i w każdym danym wypadku twierdzić stanowczo: ten Rusin jest prawdziwym Rusinem, a ten nim nie jest? A jeżeli p. Romanowicz sam siebie nie uznaje w tej sprawie za kompetentnego, to któż posiada tę kompetencję? Komu w każdym wypadku konkretnym zaufa na słowo?

Niestety dytychczasowe dzieje stosunków polsko-ruskich w Galicji pouczają nas, że w takich konkretnych wypadkach wszystkie te delikatne dystynkcje nikną, a górę bierze pierwotny, brutalny instynkt. Wszakże ostatniem słowem tych dziejów jest akcja komitetu centralnego dla Galicji wchodniej, owa pamiętna akcja, za którą wobec historii odpowiedzialnym jest i ten odłam demokracji polskiej, na którego czele stoi p. Romanowicz. Z frazesem o moskalofilstwie na ustach uderzał ów komitet na kandydatury wszystkich bez wyjątku frakcji ruskich, które, że użyjemy słów p. Romanowicza, „są obenie za opozycyjną polityką“. Zaiste, tego deptania woli i praw ludu ruskiego, jakiego się dopuszczono na rzecz kandydatów komitetu centralnego, nie tłumaczy żadna troska o moskalofilstwo. Wszakżeż w czasopismach tzw. demokratycznych, nie wyłączając i „Nowej Reformy“, największa część opozycyjnych kandydatów ruskich, bez względu na to, czy byli radykałami czy narodowcami, figurowała jako „moskalofile“: zaliczono do nich i dra Olesnickiego i chłopów Huryka, Diakowa, Ostapezuka i narodowca dra Horbaczewskiego i radykała dra Dorundiaka. Czy to świadczy o dokładnej informacji w sprawach ruskich? I ci ludzie, którzy tak dokładnie są po-

informowani o składzie stronnictw i frakeyj ruskich, roszczą sobie prawo wyrokowania o tem, kto jest prawdziwym Rusinem, a kto nie? Ileż to tysięcy razy Polacy z Rusinami przy wspólnych ucztach i biesiadach mówili o braterstwie i spijali toasty na intencję „Kochajmy się!“ A jakże zawstydzająco mało zrobiono dla spełnienia drugiego, nie mniej ważnego hasła „Poznajmy się!“ Niech p. Romanowicz powie nam sumienie, ilu zna Polaków w Galicji wschodniej, zwłaszcza członków swego stronnictwa, którzyby umieli dobrze mówić, czytać i pisać po rusku, którzyby mieli bodaj jakie-takie wyobrażenie o ruskiej literaturze, o ruskiem życiu umysłowem i partyjnym? My ani jednego takiego nie znamy. A przecież nawet tego do wyrokowania o prawdziwym lub nieprawdziwym rusinizmie byłoby za mało, gdyż tutaj trzebaby pilnie śledzić za wszystkim, co się dzieje w sferach ruskich, trzymać rękę u pulsu całego życia narodowego Rusinów. A któryż z Polaków galicyjskich może powiedzieć o sobie: czynię to? A mimo to, znając tak arcy mało Rusinów, ich język, ich dążności literackie, iluż to Polaków rości sobie prawo do opiekowania się Rusinami, do dawania im ojcowskich rad i wskazówek, które nieraz odznaczają się taką znajomością rzeczy, że tylko śmiech puśty wywołać są w stanie. Wszakże słyszeliśmy na ratuszu, jak p. Goldman mówiąc o moskalofilstwie Rusinów, powoływał się na referat p. Skalkowskiego o książeczkach popularnych Tow. Kaczkowskiego. A więc 1) p. Goldmann urabia sobie swój pogląd na podstawie słów innego męża, a sam nie jest w stanie nawet skontrolować ich prawdziwości; 2) istnienie moskalofilstwa lite-

racko-wyznaniowego bierze za dowód istnienia zorganizowanej politycznej partji moskalofilskiej, którą zwalczać należy również środkami politycznymi. Takie same błędne koło widzimy i w przytoczonem powyżej rozumowaniu p. Romanowicza, tylko z dodatkiem twierdzenia, że „Polacy mają prawo i obowiązek stanąć po stronie Rusinów przeciw moskalofilom“. „Waszyny b ustamy ta mid pyty“, panie Romanowicz — powiem na to przysłowiem ruskim. Ale powiedźcież no, proszę, gdzie i kiedy Polacy spełnili to swoje prawo, ten swój obowiązek? Długie lat dziesiątki, od r. 1860. walczyły ze sobą w Galicji w łonie Rusinów kierunki ukrainofilski i tzw. świętojurski na polu literatury i szkolnictwa, lecz Polacy, prócz platonicznych cświadczeń, żadnej pomocy w tej walce nie podali ukrainofilom (dzisiejszym narodowcom), a projekt ugody polsko-ruskiej, podany przez narodowca Ławrowskiego, tak samo poszedł do kosza, jak i wnioski „moskalofilskie“. Próbką „protegowania“ ukrainofilów przez założenie gazdzinowego organu „Ruś“, do którego przyciągnięto kilku zdolniejszych pisarzy galicyjsko-ruskich (Horbala, Kłymkowicza, Wł. Szaszkiewicza), zamiast poparcia tego kierunku, przyniosła mu tylko ogromną szkodę, bo zdyskredytowała kilku zdolnych młodzieńców i na zawsze złamała ich karierę pisarską. Subwencje, dawane na teatr rurski, na parę czasopism i burs są tak drobne, że o ich wpływie dobroczynnym na rozwój piśmiennictwa rurskiego i mówić nie można; zresztą subwencyj tych, dawanych z grosza krajowego, nie można uważać za żaden specyficznie polski prezent dla Rusinów. A po za tem niechże nam p. Romanowicz wskaże choć jedną pomoc, jakąby

Polacy, a zwłaszcza członkowie jego stronnictwa, dali uczciwym Rusinom w ich walce literackiej i politycznej z moskalofilami.

P. Romanowicz i jego stronnicy oburzają się świecie na to, że w Galicji istnieją ludzie usiłujący pisać po rosyjsku, sławiący cara, chylący się ku prawosławiu itp. W tym wypadku dwie są ewentualności: albo ci ludzie popełniają coś złego i karygodnego i powinni podpadać pod rygor ustaw, albo też robią coś takiego, co im czynić wolno, a w takim razie dla odwrócenia ich od takich sympatji nie masz innego sposobu, jak tylko odebrać im grunt, na jakim wyrastają te sympatje. A wyrastają one z dwojakiego gruntu: albo z pogardy dla chłopą, dla chłopskiego języka (ruskiego) i z dążenia do „pańskości“ (takim było stare świętojurstwo i tego rodzaju „moskalofilów“ mamy i dziś jeszcze dość), albo też z uczucia niezadowolenia z obecnych stosunków w Galicji, które skłania ludzi do frondowania Moskalami i moskalofilstwem, jak to czynią np. Młodoczesi i wogóle wielka część Słowian austro-węgierskich.

I jeżeli z moskalofilstwem pierwszej kategorii najskuteczniej walczy ukrainofilstwo ruskie, zwłaszcza radykalno-postępowe, głoszące miłość i poświęcenie dla prostego ludu, przypominające, że inteligencja ruska, wzrosła pracą i potem tego ludu, przede wszystkim ma obowiązek przyłożenia swych sił i zasobów intelektualnych do podźwignięcia go z nędzy, do oświecenia go w jego języku ojczystym, — to z moskalofilstwem drugiej kategorii najskuteczniej walczyć by mogli właśnie Polacy, postępując z Rusinami sprawiedliwie, politycznie, stoso-

wnie do swych szeroko pojętych interesów narodowych.

A czego wymagają te polskie interesy narodowe? To przecież łatwo zrozumieć, jeszcze łatwiej odczuć.

Rusini i dziś jeszcze, mimo tyloletnich wysiłków, mimo pracy kilku pokoleń i kilku genialnych jednostek stoją wobec fatalnego pytania: być albo nie być. Gnębieni w Rosji, absorbowani zwolna lecz stale przez społeczeństwo rosyjskie, nie mogą się i w Galicji rozwijać tak, jakby tego potrzebą. Przypuśćmy, że te nieliczne jednostki ruskie, które dziś w Galicji na swych barkach dźwigają ruski rozwój narodowy, nękanie najrozmaitszymi przeciwnościami złożą broń i nie znajdą następców, to cóż się stanie? Rzecz oczywista, że narodowość ruska będzie miała do wyboru: czy utonąć w morzu moskiewskiem, czy w polskiem. I jak sądzi p. Romanowicz, czy po tem, co czynili Polacy galicyjscy z Rusinami od r. 1848 i jeszcze dawniej, dużo Rusinów zechce złąć się z Polakami? Myślę, że sam on nie łudzi się zbyt różowemi nadziejami w tym względzie. A jeżeli tak, to czyż każde osłabienie ruskiego prądu narodowego w Galicji i na Ukrainie nie oznacza równoczesnego wzrostu moskwicyzmu? I na odwrót, czyż każdy wzrost ruskiego ruchu narodowego, zarówno w Rosji jak i w Galicji, nie oznacza zmniejszenia się szans moskwicyzmu na pożarcie Rusi a z nią i Polski?

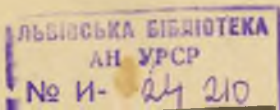
I jeżeli Polacy tyle i tak głośno mówią o swym „odwiecznym wrogu“, to czyż nie powinni poczuwać się do obowiązku popierania wszelkimi siłami tego elementu, który samem swem istnieniem, samym swym naturalnym wzrostem i

rozwojem czyni olbrzymi uszczerbek w siłach tego wroga? I przypuściwszy, że w samych granicach Rosji czynić tego nie mogą (choć i tam mogliby do pewnego stopnia), to czyż w Galicji nie powinno by odpowiednie prowadzenie (nie załatwienie!) sprawy ruskiej stanowić integralnego punktu programu wszystkich polskich stronnictw szerze narodowych, a zwłaszcza stronnictwa, mianującego się demokratycznym?

P. Romanowicz jako najwyższy wyraz swego rozumienia polityki polsko ruskiej w Galicji stawia „sprawiedliwość i uznanie praw narodowych”. Tego za mało Rusini słusznie mogą powiedzieć p. Romanowiczowi i jego stronnikom: „sprawiedliwość znajdziemy w sądzie, a uznanie praw narodowych mamy i w konstytucji Sebmerringowskiej”. Przetłumaczona na język praktyczny zasada ta da się wyrazić przysłowiem ruskim: „moja chata z kraju, ja niczoho ne znaju”. Nie, Polacy, zwłaszcza demokraci i patrioci polscy powinni się zdobyć na coś więcej. Przyświecać im powinna gwiazda przewodnia: *stworzyć z tej Galicji na gruncie swobody i postępu punkt atrakcyjny dla reszty Rusi-Ukrainy, wytworzyć lub dopomódz do wytworzenia tutaj takiego żywego ognia, którego promienie niosłyby światło i ciepło ożywcze aż hen, za Dniepr, nad Don, nad Kuban, gdzie żyją miliony Ukraińców, do dziś nie chcące uwierzyć w to, że gdzieś tam za rzekami, za górami są ruskie szkoły, ruskie katedry na uniwersytetach, ruskie organizacje narodowe i naukowe. Tu suchą sprawiedliwością niczego nie wskóracie, bo tu nie chodzi o żadną zbrodnię ani o żaden spór cywilny. Teoretyczne uznanie praw Rusi z klauzulą, że uznający ma prawo naprzód*

rozstrzygać, czy ktoś jest pozzeiwym Rusinem lub nie, tutaj nie tylko nie pomoże, ale jeszcze namnoży kwasu i rozgoryczenia. Tu trzeba, mówiąc słowami p. Szczepanowskiego, gospodarki na wielką skalę, z szeroko obnyślanym planem, z światłą, iście patryjotyczna i jasną myślą przewodnią. Dyplomatyczne sztuczki w rodzaju reformy jezuicko bazylikańskiej lub ugody Badeniowskiej nie doprowadzą do niczego, prócz osłabienia szczupłych i bez tego narodowych sił ruskich, do zdemoralizowania i zdyskredytowania jednostek, które inaczej mogłyby być bardzo korzystnymi dla społeczeństwa ruskiego, A rezultat będzie jeden: osłabnięcie ruchu narodowego ruskiego, a wzmocnienie się moskwicyzmu. Powtarzam jeszcze raz: sprawa ruska jest dla Polaków tak ważna, a specjalnie w Galicji Polacy tyle mogą dla niej zrobić, że zaniedbanie lub wypaczenie jej może się bardzo pomścić w przyszłości.

Ale trzeba się podnieść ponad biurokratyczną rutynę, ponad czeze i do niczego nie obowiązujące frazesy, trzeba nie ograniczać się do stanowiska odpornego, do „obrony interesów polskich“ za pomocą gnębienia i demoralizowania Rusinów w czambuł, lecz trzeba wziąć się do pozytywnego działania z własnej inicjatywy i z tą myślą przewodnią, że *silna i postępową Rus, czująca podporę u Polaków, będzie naturalnym ich sojusznikiem*. A jeżeli Polacy rozumną i szczerze narodową polityką dopomogą Rusinom galicyjskim wzrósć w siłę, to mogą być pewni, że *Rusini w swoim własnym interesie narodowym popierać będą Polaków w ich analogicznych usiłowaniach*, a zarazem mogą być pewni, że silny i zdrowy dąb rychło otrząśnie się z tych s petnych porostów i



grzybów, które prosperują na drzewie chorowitem i pruchniejącem.

Jakby miał wyglądać ten program polski w sprawie ruskiej, nie moja rzecz przesądzać. Co najwyżej mogę tu wyłuszczyć moje osobiste zapatrywania, któremi kieruję się w mej własnej działalności literackiej i publicystycznej.

Jako chłop z pochodzenia i sympatyj, jako radykał-postępowiec z przekonań, jestem tego niezłomnego przekonania, że nam, zarówno Rusinom jak i Polakom, narodom pozbawionym samodzielnego bytu państwowego, rozdartym między kilka organizmów państwowych i cierpiącym w niektórych z nich, prócz ogólnego ucisku ekonomiczno-społecznego, nierozłącznego z dzisiejszym ustrojem społecznym, niewolę polityczną, co więcej, narażonym z różnych stron na brutalne zakusy extyrpacyjne, nie pozostaje innej drogi ratunku, jak podnosić całe masy ludowe do świadomości narodowej i obywatelskiej, do udziału w życiu cywilizacyjnem, a więc do walki o nieprzedawnione nigdy prawa ludzkie, polityczne i narodowe. Wiedza, talent, majątek, stanowisko, wpływy nie powinny mojem zdaniem być przywilejami zwalnającymi od pracy dla tego celu, lecz przeciwnie, wkładają na odnośne osobniki większą sumę obowiązków, które spełniać należy pod ciężką odpowiedzialnością wobec narodu i całej jego przyszłości. Widząc przed sobą ten cel, nie dziw, że nie mogę się zgodzić na drogi, które prowadzą albo w przeciwną stronę, albo nawet w tę samą, ale manowcami, serpentynami zamiast prostej drogi. A więc nie mogę się pisać na żadną formę tzw. konserwatyzmu, który przetłumaczony na język zjawisk konkretnych, jest u nas panowaniem jednej nie-

licznej warstwy uprzywilejowanej, a systematycznym gnębieniem, krzywdzeniem lub w najlepszym razie wodzeniem na pasku i trzymaniem w stanie niemowlęctwa tych mas ludowych, których najzupełniejsze uświadomienie i uobywatelenie uważam za najlepszą, za jedyną gwarancję przyszłości zarówno Rusi jak i Polski.

Z tego samego powodu nie wystarcza mi też demokratyzm i liberalizm, który od końca XVIII. wieku zdołał wspaniałe teoretyczne hasła „wolności, równości i braterstwa“ zapęłnić treścią pełną sprzeczności, sprzeniewierzeń, brudu, sobkostwa i fałszu i który też u nas w Galicji przedstawia się jak płonka rozbijająca w liście i nawet obfita w kwiaty, ale pozbawiona zupełnie owoców. Nie wystarcza mi ten demokratyzm głównie z powodu dziwnej jego skłonności do ustępstw zasadniczych, do ciągłego zbaczania z prostej drogi w praktyce przy pozornej stałości doktryn, z powodu jego chętki do zaskorupiania się w ramach cieplej pracy biurowej i skromnych ideałów biurokratycznych, z powodu ogólnej ciasnoty jego horyzontów społecznych, które czynią go wprost bezsilnym i niesamodzielnym w konkurencji z przemożnym u nas konserwatyzmem szlacheckim. A już wprost żalem i oburzeniem przejmuję mię widok „demokratów“ galicyjskich otwarcie kokietujących z tymi, których w dziedzinie zasad mienią swymi przeciwnikami, a natomiast dla dogodzenia tym samym przeciwnikom oiskających kamieniem potępienia lub nawet potwarzami i kalumniami na ten słaby jeszcze, pierwsze kroki stawiający ruch chłopski i robotniczy, *ruch ludowy polski i ruski, który ja ze swego stanowiska przy wszystkich jego brakach, przy całej jego słabości i sporadyczności u-*

ważam za największy nabytek cywilizacyjny, za najpiękniejszą zdobycz narodową, jaką się mogą poszczycić dzieje Polski i Rusi w ostatnich latach dwudziestu

Ze rozmaite tzw. umiarkowane programy nie zyskają we mnie zwolennika, tego nie potrzebuję długo motywować. Jestem zwolennikiem umiarkowania, ale tylko w środkach, w sposobach działania i przemawiania, nigdy zaś w rzeczy samej, tam, gdzie umiarkowanie oznacza połowiczność celów, amputowanie ideałów, lub co gorsza, gdzie ono wprost maskuje brak stałych zasad lub brak zapału dla sprawy uznanej za słuszną i świętą. I jeżeli przez słabość ludzką miałbym zgrzeszyć, to wolalbym już zgrzeszyć zbyt kiem zapału, brakiem umiarkowania w słowach lub czynach, niż tą pozorną mądrością umiarkowania, które nie jest ani zimne ani gorące, a o którym już Chrystus powiedział: „Ponieważ nie byłeś ani zimnym ani gorącym, przeto wyplują cię usta moje“.

To uważałem za konieczne przytoczyć dla wyjaśnienia stanowiska, z jakiego napisałem swój artykuł „Die Bauernbewegung in Galizien“, umieszczony w nrze 51 wiedeńskiego tygodnika „Die Zeit“, a stanowiący powód artykułu p. Romanowicza. Z tego, wyłuszczonego tutaj punktu widzenia scharakteryzowałem stronnictwa galicyjskie, *zarówno polskie jak i ruskie*. Ziem się w tym artykule ostro wyraził o inteligencji polskiej, to jest właściwie o tych jej kategorjach, które tu u wyliczyłem: o szlachcie, o tzw. demokratach (i potrosze nawet o socjalnych demokratkach), i które w pewnych wypadkach, acz z różnych stanowisk wychodząc, zwracają się przeciw chłopu to fakt. Ze swego punktu widzenia uważam to za rzecz

nie przekraczającą granicę uprawnionej krytyki, zwłaszcza że na poparcie tej ogólnej charakterystyki przytoczyłem tam całe szeregi faktów.

Mógł p. Romanowicz rozstrząsać te fakty, wykazać, co w nich było nieprawdziwego, przesadnego lub przekręconego, ale on tego nie zrobił, lecz przytoczywszy moje zdanie ogólne, natychmiast wzięła z tryumfem: „A zapisawszy w ten sposób *wszystkich Polaków* (podkreślenie p. Romanowicza) w jedną rubrykę „der Schlachziz“ opisuje nas dla użytku obcych, niemieckich czytelników i dla użytku dalszej zagranicy w sposób taki, że nie przypuszczaliśmy nigdy, by człowiek tak wykształcony zdolnym był do tak namiętnej nienawiści i takich fałszów“. Otóż przede wszystkim fałszem jest, jakoby *wszystkich Polaków* w swej ogólnej charakterystyce zaliczał do rubryki „Schlachziz“, gdyż w każdym ustępie, w każdym zdaniu starannie określam, jaką część inteligencji, jaki obóz, jaki prąd mam na myśli i pozostawiam szlachcie co jest szlacheckiego, a pseudo demokratom, co jest pseudo demokratycznego. A powtóre, czy wykazywanie wad czyichkolwiek, a nawet przedstawienie ich w czarniejszych kolorach, niż są w rzeczywistości (daj Boże, bym w tym względzie dopuścił się jak największej przesady!) jest już dowodem nienawiści? A wreszcie co to ma do rzeczy, że krytykę swą umieściłem w piśmie niemieckim? Jeżeli takowa jest kłamliwą i bezpodstawną, to dla mnie jednakowoż wstyd, czybym ją umieścił w „Zeit“, czy w „Gazecie Sokalskiej“; a jeżeli opartą jest na prawdzie, to czy są i p. Romanowicz, że polski lub jaki inny interes narodowy wymaga tajenia braków i nadużyć, że tajone złe prędzej i skuteczniej

się zagoi i że mimo naszego tajenia nie wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi? Mojem zdaniem polska ani ruska sprawa nie jest żadnym interesem giełdziarskim, wymagającym dyskrecji, nie jest tajemnicą służbową i nie potrzebuje w niczem i nigdy lękać się światła ani opinii całego świata cywilizowanego. Jako wyborną próbkę polemiki p. Romanowicza przytaczam w całości następujący ustęp jego artykułu:

„Według niego (tj. mojej skromnej osoby) wszystko, co się w Galicji dzieje, jest tylko ku temu skierowane, ażeby z chłopa skórę zedrzeć — wszystko zmierza tylko do egoistycznych celów kastowych lub jednostkowych — wszystkie hasła patriotyczne są obłudą i kłamstwem. Jest też kłamstwem — według niego — lojalność wobec Austrii. „Szlacheć — pisze dr. Franko — jest polskim patriotą. Jest też dobrym Austriakiem. Niezawodnie! Wszak na swej austriackości robi świetne interesy“. Ale „pod tą utylitarystyczną skorupą ruszają się jeszcze niewygasłe ideały niepodległej Polski“ — czego ma według autora dowodzić artykuł hr. Tarnowskiego o książce p. Koźmiana. Streściwszy program Tarnowskiego w tem, żeby trzymając się zdala od konspiracyj i zachecianek powstańczych, zapomocą pracy dziedzictwo przodków zachować i pomnażać i w ten sposób iść ku lepszej przyszłości — pisze dr. Franko dalej: „Jak widzimy, cel jest zawsze ten sam, tylko w dalszą przyszłość usunięty, ale i środki nie są nowe. Polacy w Galicji od czasów konstytucyjnej ery nauczyli się wyśmienicie tych środków używać“.

„Zamiar, jaki kieruje autorem, który to ogłasza, w niemieckiem, wiedeńskim piśmie, jest aż nazbyt jasny. Szczęście tylko, że w Wiedniu już się z tem dobrze znają, a co więcej, że zrozumiano tam już, iż Palak może bez obłudy i swoim narodowym ideałom

pozostać wiernym i państwowe interesy Austrii szczerze strzedz i popierać.“

Tak wyglądam w rysunku p. Romanowicza, a jakież były w rzeczywistości moje twierdzenia? Oto przedewszystkiem *konstatuję*, że *pierwsze zdanie powyższego cytatu jest zupełną własnością p. Romanowicza* i że w moim artykule nie ma niczego, co by choć trochę podobnem było do twierdzenia, że „*wszystko*, co się w Galicji dzieje, jest tylko ku temu skierowane, ażeby z chłopa skórę zedrzeć, *wszystko* zmierza tylko do egoistycznych celów kastowych lub jednostkowych, *wszystkie* hasła patrijotyczne są obłuda i kłamstwem“. Twierdzę stanowczo i powołuję się na drukowany i każdemu dostępny tekst mego artykułu, że *niczego podobnego tam nie powiedziałem*. Zarzuciłem tam szlachcie, że się uważa za całość narodu polskiego, że pod pokrywką interesów narodowych przeprowadza swoje własne interesy kastowe, że na zewnątrz głosi zasady autonomji, a w kraju autonomję gmin obcina — czy miałem w tem rację, czy nie, o tem możnaby dyskutować; konstatuję jedynie, że mówiłem o szlachcie. Dalej wspomniałem o austriackim patrijotyzmie szlachty i o stańczykowskiej formule pogodzenia tego patrijotyzmu z „niewygasłymi ideałami samodzielnej Polski“. Czy popełniłem przez to jaką niedyskrecję? Czy te ideały są sekretem, z którymby Polacy kryć się musieli przed obcymi? *A przytem godziłoby się pamiętać, że inną jest rzeczą ideał niepodległości, a wręcz inną dziwną kombinacją tego ideału z „trójlojalizmem“.*

Tę kombinację mając na myśli, zlekka ironizowałem nad stańczykową formułą pogodzenia

ideałów samodzielnej Polski z hasłem „przy tobie stoimy i stać chcemy“, ironizowałem nie dla tego, żeby formuła ta, teoretycznie biorąc, była niedorzeczną — przeciwnie, uznałem, że jest ona „ganz in Ordnung“ — lecz ironizowałem dla tego głównie, że ci ludzie, dbający tak bardzo o „uświeścenie imienia polskiego“ równocześnie starają się nie dopuszczać szerszych mas ludowych do udziału w życiu obywatelskiem, do wyższej oświaty, do pracy cywilizacyjnej, a więc niejako starając się o ozdobienie frontonów gmachu, równocześnie osłabiają i podkopują jego fundamenty. I tu znowu można było dyskutować, czy moje poglądy są słuszne lub nie, ale suponować że tylko „nienawiść“ mogła mi podyktować takie zdania, wydaje mi się co najmniej przedwczesnem.

To co dalej powiedziałem o „demokratach“ galicyjskich i co p. Romanowicz wytacza przeciwko mnie jako działo najcięższego kalibru, rozbiore poniżej, a teraz jeszcze raz zapytam p. Romanowicza, gdzie też w moim artykule znalazł on twierdzenie, że *wszystko* w Galicji zmierza do darcia chłopu, że wszystkie patriotyczne hasła są obłudą i kłamstwem? Wszakżeż nawet tej, przezemnie (zdaniem p. Romanowicza) tak znienawidzonej szlachcie przyznaję „niewygaste ideały samodzielnej Polski“; wszakże podnoszę polski patriotyzm chłopów polskich; wszakżeż kierowników polskiego stronnictwa ludowego mianuję „gorącymi patriotami polskimi“. Nawet panom demokratom nie zarzuciłem nigdzie, że ich patriotyzm jest kłamstwem i obłudą. Lecz zarzuciłem im coś innego. Posłuchajmy, jak tę rzecz przedstawia p. Romanowicz. Cytuje on z mego arty-

kułu następujące zdania i następujący daje do nich komentarz:

„W tym punkcie (to znaczy co do owej utylitarnej polityki) konserwatywna szlachta stała się mistrzem i rzecznikiem całej polskiej inteligencji. Tak oni czynią wszyscy, także i ci, którzy przysięgają na stary, de mokratyczno-konspiracyjny (??) katechizm. Konspiracje i demokracja są rozrywką, dobrą przy toastach i mowach na uroczystościach; w praktycznem życiu idzie się śmiało naprzód drogą organicznej pracy, to znaczy drogą polowania na posady, drogą protekcji, uganiania się za synekurami, służalstwa i nepotyzmu“.

„I taką jest według tego paa cała polska inteligencja! Ona cała kłamie patryjotyzm, a w rzeczywistości jest służalczą, uganiania się za synekurami, idzie drogą protekcji i nepotyzmu — cała! A o pracy organicznej pisze dr. Franko w innem miejscu, że ją chłop odczuwa tylko jako łupiestwo i zdzieranie skóry (*Schinderei und Hautabzieherei*) — żeby zaś miary obelg dopełnić, „polską bronią“ nazywa „denuncjacje, potwarz i podszczywanie“!“

Przepraszam, panie Romanowicz! Patoś Pański nie zupełnie na miejscu. Przedewszystkiem pozwoliłeś Pan sobie maleńkie skrócenie mego tekstu. W oryginale niemieckim czytamy: „Der conservative Adel ist in diesem Punkte der Lehrer und Wortführer der gesammten polnischen Intelligenz in Galizien“. Po co szanowny Pan w swem tłómaczeniu wypuścił dwa ostatnie słowa? A, bo w takim razie już mniej jakoś wypadłoby wołać patetycznie: cała inteligencja polska! A dalej, jakże to szanowny Pan ze słów moich wysnuł wniosek, że ta „cała inteligencja“ kłamie patryjotyzm? Nigdzie nie powiedziałem, żeby polityka utylitarna była kłamaniem patryjotyzmu, a panom

demokratom zarzuciłem tylko inną drobnostkę: *klamanie demokratyzmu*. Jest w tem pewna różnica. I wracając jeszcze raz do owej „całej inteligencji“, to z samego kontekstu przytoczonych przez Pana słów moich widać, że jest to prosty lapsus calami, gdyż *mówię tam wyraźnie o dwóch kategoriach inteligencji polskiej*, o konserwatywnej szlachcie i o panach demokratów — a przecież wiadomo, że te dwie kategorie nie wyczerpują jeszcze zasobu całej inteligencji polskiej, nawet w samej Galicji.

Przyznaję, że obszedłem się niegrzecznie z hasłem „pracy organicznej“, nie dla tego, jakoby bym był zwolennikiem jakiejś pracy nieorganicznej, ale dla tego, że pod owem hasłem długi czas przemycano i dotychczas przemyca się do naszego życia społecznego właśnie *dużo elementów nieorganicznych a nawet dezorganizacyjnych*. Może to nie prawda? P. Romanowicz mógłby mi w tym punkcie oświecić i pouczyć, ale oburzać się tak bardzo nie było czego. Hasło „pracy organicznej“ i nadużywanie tego hasła nie jest rzeczą ani wyłącznie polską, ani wyłącznie demokratyczną.

Nie całkiem ściśle jest i to, co mi dalej podsuwa p. Romanowicz, że w innem miejscu o pracy organicznej piszę, iż „chłop odczuwa ją tylko jako łupiestwo i zdzieranie skóry“. W artykule mym odnośne zdanie brzmi: „Lud odbywa zgromadzenia, debatuje o polityce i to nie o wysokiej i szerokiej, ale o dokuczliwej polityce swego życia powszedniego i swych powszednich interesów, o podatkach, o egzekucjach, o regulacji rzek i o powodziach, o ustawie myśliwskiej i rybackiej, o wadach życia autonomicznego i o wiel-

kiem kłamstwie „pracy organicznej“, które lud ze swego niskiego i ciemnego stanowiska dziwnym sposobem prawie zawsze odczuwa tylko jako łupiestwo i ściąganie skóry“. Zdaje się, że jest pewna różnica między moją stylizacją tego zdania, a stylizacją p. Romanowicza. Różnicy tej nie będę bliżej komentował, bo o cóż tu chodzi? O skonstatowanie, *jak odczuwa chłop* wszystkie wyżej wymienione nabytki cywilizacyjne. A jeżeli o to chodzi, w takim razie twierdzę bez przechwałek, że ja będę bardziej kompetentnym powiedzieć coś o tem p. Romanowiczowi, niż on mnie.

Ale przebóg! Dopuszciliem się jeszcze jednej ciężkiej zbrodni. „Polską bronią nazwałem denuncjacje, potwarz i podszezwanie“. Rzeczywiście, słowa potworne, dzikie! Niestety, jest *coś* w naszych stosunkach galicyjskich, co im odpowiada, co ja w mym artykule wyłuszczyłem dość obszernie, a co p. Romanowicz mądrze przemileczał. Uważam przeto za rzecz pożyteczną reprodukować tu bieg myśli, który mnie doprowadził do zestawienia owych słów.

Skreśliwszy początki ruchu ludowego w Galicji, przyszedłem do omówienia przeciwności, na jakie ruch ten napotkał. „Przedewszystkiem próbowano wziąć go na wabika „harmonji społecznej“, gdy się to jednak nie udało, chwycono się wydanego właśnie wówczas (około połowy lat 70 tych) ze strony konserwatywnej hasła „szlachetnej denuncjacji“. Hasło to wydanem było pierwotnie dla walki z demokratami konspiratorami i było przez demokratów napiętnowane jako największa podłość. Wkrótce jednak zarówno konserwatyści jak i liberalni demokraci uznali je za jednakowo dobre do walki z chłopami.“ Czy

bardzo się pomyliłem? Czy galicyjscy pseudo-demokraci nie denuncjowali na równi z konserwatystami ruchu ludowego jako „wywrotowego“, „anarchistycznego“, „wrogiego państwu i kościołowi“? Czy nie rzucałi bezpodstawnych a brzydkich podejrzeń na uczestników i przewodców tego ruchu? Czy mam przytaczać przykłady? Nie, nie uczynię tego. Mówiąc dalej o stronnictwach ruskich i charakteryzując tzw. „ugodę“, skonstatowałem, że tej samej starej broni, której przedtem Polacy używali przeciw sobie samym, używają teraz Rusini przeciw sobie. I jeżeli i tym razem dla skrócenia zdania użył wyrażenia „die alten polnischen Waffen“, to dla każdego, kto czyta mój artykuł w związku, rzecz będzie jasną, że broń ta nazywa się „starą“ i „polską“ jedynie w odniesieniu do ustępu poprzedniego, w którym określono czas i sposób jej ukucia i powiedziano, jak używały jej galicyjsko-polskie partje względem siebie. *Kalumnji na naród polski lub nawet na całą inteligencję polską przez to chyba nie rzuciłem.*

Zem w moim artykule w *Zeit* nie malował stosunków Galicji na różowo, to rzecz pewna. Zem nie szczędził ciężkich zarzutów zarówno konserwatystom szlacheckim jak i tak zwanym demokratom — przyznaje. Zem jednak ze szczerą sympatją pisał o chłopie polskim i o tej części inteligencji polskiej, która szczerze i nie błędnie staje w obronie jego interesów, to, spodziewam się, przyzna mi każdy, kto bez uprzedzenia przeczyta mój artykuł. Zem patriotyzmu polskiego — czy to u szlachty, czy u demokratów, czy u chłopów — nie poniewierał, to może również każdy stwierdzić z tekstu mego artykułu. I dla tego uczyniony mi

zarzut, że się nienawiscia względem całej inteligencji polskiej, boli mnie bardziej, niż oburza.

Wychowany w szkołach polskich, wykarmiony literaturą polską na równi z innemi, tylu węzłami czuję się związanym ze społeczeństwem polskiem, że ich zerwanie bardzo dużo by mnie kosztowało. Tylu mam między Polakami przyjaciół, którzy darzą mnie swem zaufaniem, tak wiele radosnych i bolesnych wspomnień wiąże mnie z nimi, tak wiele im zawdzięczam i tak szczerze im w miarę możności odwdzięczać się jestem gotów, że wmawianie we mnie nienawisci ku wszystkiemu Polakom brzmi w moich uszach jak jakaś wiadomość z innego świata. Jako Rusin kocham nadewszystko swój lud i swą narodowość i pragnę w miarę sił i zasobów swych przyczynić się do ich podniesienia i wzbogacenia. Ale nieszlachetnymi, nieuczciwymi środkami nawet dla dopięcia takiego celu gardzę, a nieszlachetnym, nieuczciwym i wprost głupim środkiem byłoby miotanie obelg na naród, w którym pragnąłbym widzieć oporę dla rozwoju i samodzielności mego własnego narodu.

A jakieżże to szlachetnej broni używa przeciwko mnie p. Romanowicz? Koniec jego artykułu w *Nowej Reformie* jest nieocenionym dokumentem, zasługującym na to, bym go tutaj w zupełności przytoczył:

„Kiedy dr. Iwan Franko na zgromadzeniu wyborców miasta Lwowa mnie i moim sejmowym kolegom dawał lekcje patriotyzmu — niektórzy polscy wyborcy obdarzali go hucznemi oklaskami. Niechże się dziś dowiedzą, komu i czemu te ich ówczesne oklaski dawały zachętę — niech się dowiedzą, jak ten mowca myśli o całej polskiej inteligencji! Z pod jego radykalnej po

włoki nigdy może nienawiść do Polaków nie wybuchła tak gwałtownie, jak w tym artykule, w którym całą polską inteligencję obrzucił takimi obelgami, takim na nią jadem zionął, że tylko w najbardziej nam nieprzyjaznych organach moskiewskich z czemś podobnem spotkać się można.

„A teraz jasnem się staje, dlaczego dr. Franko tak gorąco protestował przeciwko „mieszaniu się Polaków do domowych sporów Rusinów“. Będzie on tak samo protestował przeciwko wszystkiemu, co tym, przez niego tak bardzo znienawidzonym Polakom obroną stać się może lub pożytkiem; będzie tak samo doradzał wszystkiego, co im szkodę przynieść może. Ale w tem wystąpieniu szefa ruskich radykałów mamy nowy dowód, jak koniecznem jest dla Polaków odróżniać Rusina a Rusina, brata, którego bronić, a wroga, którego zwalczać należy. A to tem bardziej, jeżeli ten drugi wciska się między nas w taki sposób, iż może już na nasze, polskie sprawy wpływ wywierać. Dotykam tu przykrej, bo poniekąd osobistej sprawy! Ten sam dr. Franko, który taką ku nam pałą nienawiścią, który wobec cudzoziemskich czytelników takie na nas miota obelgi — jest członkiem redakcji polskiego pisma, którego naczelnym redaktorem jest Henryk Rewakowicz! Rzecz to ze względu na stanowisko polityczne tego redaktora bardzo smutna i bolesna, ale ze względu na sprawę narodową, której przecież pismo polskie ma służyć, bardzo niebezpieczna. Nie moją rzeczą wdawać się w roztrząsanie sumienia p. Rewakowicza — ale sądziłem, że obowiązkiem moim było podnieść głos przestrogi. Niech on dojdzie do tych, którzy zaślepieni wspólnością radykalnych przekonań wyobrażają sobie, że nie uwłaczając swemu polskiemu patriotyzmowi, stać mogą na jednym gruncie politycznym z drem Iwanem Franko. I niech ci, do których to należy, rozważą, czy

można, czy godzi się dawać wpływ na polskie pismo i dawać codziennie głos w polskim piśmie temu kto tak nas nienawidzi, że przed obcymi na całą polską inteligencję tak ciężkie i potwarcze miota obelgi, jak to uczynił dr. Franko w artykule przesłanym do wiedeńskiego „Zeit“. Pismo polskie ma polskiej służyć polityce, inaczej traci rację rację bytu.“

Co mam na to powiedzieć? Takie zakończenie artykułu p. Romanowicza przypomina mi zwyczaj dawnych rzeźbiarzy, którzy na piedestale posągu umieszczali swój własny portret. W ustępie tym p. Romanowicz odportretował się cały, dał podobiznę swej fizjognomji zasadniczej, swej taktyki partyjnej. Utwierdziwszy siebie samego w tem przekonaniu, że artykuł mój podyktowany był nienawiścią ku wszystkiemu Polakom, ku całej inteligencji polskiej, p. Romanowicz *denuncjuje* mnie przed patrijotyczną publicznością polską jako wroga Polaków, zięjącego jadem nienawiści i obrzucającego obelgami całą inteligencję polską. Ile taka denuncjacja odpowiada moim rzeczywistym przewinieniom, starałem się wyjaśnić powyżej; tu tylko zauważę jeden dziwny zbieg sympatji. W artykule moim wytknąłem szlachcie galicyjskiej, że zbyt pochopną jest do uważania siebie za całość narodu polskiego, a demokratom polskim zarzuciłem, że w sprawach najważniejszych pomimo sporów teoretycznych zazwyczaj idą śladem szlachty. P. Romanowicz w artykule swym złożył dowody, że demokraci jego autoramentu i w tem idą śladami szlachty, że skłonni są uważać siebie i swą frakcję za ogół narodu, za całość inteligencji polskiej.

Po moim artykule w „Zeit“ p. Romanowicz zrozumiał, „dlaczego dr. Franko tak gorąco pro-

testował przeciwko mieszaniu się Polaków do domowych sporów Rusinów. Więc był związek między jedną i drugą moją enuncjacją! A więc i to co mówiłem na ratuszu, podyktowane było tą samą nienawiścią względem Polaków, jaką ziele mój artykuł w „Zeit“. Odegrałem wówczas i odgrywam ciągle wobec publiczności polskiej rolę Walenroda: „protestuję przeciw wszystkiemu, co tym tak bardzo przeze mnie znienawidzonym Polakom obroną stać się może lub pożytkiem; doradzam wszystko, co im szkodę przynieść może“. Nie jestem prawnikiem, ale zdaje mi się, że posądzenie kogós o czyny ohydne i pogardy godne zwykło się nazywać *oszczerstwem*. A jakąż jest podstawa twierdzeń p. Romanowicza? Czy uczyłem wyborców lwowskich patryjotyzmu? Nie, tylko zarzucałem *tz. demokratom*, że nie dość szeroko rozumieją własne interesy narodowe, podporządkowując się pod komendę komitetu centralnego sejmowego i gnębiąc wolną wolę wyborców włościan, w tej liczbie i Rusinów. Czy to Walenrodyzm? Zapytywałem posła Romanowicza o dokładniejsze motywowanie jego poglądu, dlaczego on jest przeciwnym powszechnemu głosowaniu i krytykowałem jego projekt reformy wyborczej, oparty na cenzusie inteligencji. Mogłem się mylić w tej krytyce. P. R. m. niestety nie raczył ani jednym słowem odpowiedzieć na moją interpelację, ale gdzież tu z mej strony Walenrodyzm? Czy był może Walenrodyzm we wniesionym przeze mnie proteście przeciwko nadużyciom władz i rozmaitych „fer“ przy prawyborach? Jeżeli w tym wypadku „protestowałem przeciw temu, co Polakom pożytkiem stać się może“, to tego samego Walenrodyzmu dopuścił się także p. Romanowicz,

który zaraz następnego dnia w tej samej sali ratuszowej stanowczo i uroczyście przyłączył się do tego protestu i jako członek komitetu centralnego solennie umyśl rece od udziału tegoż komitetu w owych nadużyciach. W czymże więc objawiła się ta „ruska perfidja“, której mianem pewien wysoki dygnitarz autonomiczny piętnował (półgłosem) pojedyncze ustępy mojej mowy na ratuszu?

A! Walenrodyzm mój w tem najbardziej się objawia zdaniem p. Romanowicza, iż „wciskam się między Polaków w taki sposób, iż mogę na polskie sprawy wpływ wywierać“. Mógłbym prosić p. Romanowicza, by mi wskazał choć pozór faktu, kiedy to, gdzie i jak wciskałem się w jakiegokolwiek polskie organizacje lub prace lub nawet towarzystwa, kiedy, gdzie i jak *staratem się* o wyrobienie sobie jakiegokolwiek wpływu? Ja ze swej strony mógłbym p. Romanowiczowi złożyć dowody, że do wielu polskich towarzystw, organizacyj, prac zbiorowych proszony przez Polaków, wstępować nie chciałem, wołając icha pracę literacką i naukową. Jeżeli mimo to słowa moje, czy to pisane czy mówione, wywierały lub wywierają jakikolwiek wpływ na ludzi, to musi w tych słowach być coś więcej, niż jad nienawiści, niż stek fałszów i obelg.

Myli się też p. Romanowicz, nazywając mnie szefem radykałów ruskich. Rzeczywiście zaliczam się do ruskiego stronnictwa radykalnego, należę do jego założycieli, brałem udział w wypracowaniu jego programu, a i dalszy wzrost i rozwój tego stronnictwa zawsze leżał i leży mi na sercu, ale z obecną organizacją partyjną tego stronnictwa bardzo luźne i nieliczne łączą mię węzły, a szefem stronnictwa nigdy nie byłem i nie jestem.

A jakżeż mam nazwać końcowy ustęp artykułu p. Romanowicza, ową apostrofę do H. Kewakowicza, by w imię polskich interesów narodowych usunął mię z redakcji *Kurjera Lwowskiego*? Czy to jest szlachetny, zasadniczy sposób walki z przeciwnikiem politycznym lub narodowym? Polemista, który uniża się do tego stopnia, by w ten sposób *podszczuwać* szefa przeciw jednemu z jego współpracowników, nie powinien by się tak bardzo oburzać na te słowa mego artykułu w „Zeit“, w których i podszczuwanie tego rodzaju wykazałem jako jeden z rodzajów broni, na które pseudodemokraci galicyjscy bardzo się oburzali, gdy je stosowano przeciwko nim, ale których sami nie wzdrygają się używać w walce ze swymi przeciwnikami, zwłaszcza słabszymi.



U 34.210

F $\frac{I}{N-60}$

